

Wojciech Stanisławski: Czyje typy?

Kiedy patrzę na twarze licznych nominatów do „Wawrzynów Kisiela” i kiedy myślę o ich publicznych zaangażowaniach, niełatwo mi wskazać iunctim między nimi a Stefanem Kisielewskim – pisarzem, krytykiem, pragmatykiem i przeciwnikiem sowieckiej dominacji nad Polską.

Maksymilian Berezowski

Andrzej Bilik

Zygmunt Broniarek

Marian Dobrosielski

Jerzy Lobman

Zbigniew Safjan

Jerzy Urban

Włodzimierz Źrałek

Grzegorz Braun

Grażyna Cichosz

Monika Jaruzelska

Leszek Miller

Sebastian Pitoń

Marcin Rola

Tomasz Sommer

Łukasz Warzecha

Co to za listy nazwisk? Po lewej: wybór z jednego z najsłynniejszych felietonów Stefana Kisielewskiego vel Kisiela, zatytułowanego „Moje typy”, opublikowanego w grudniu 1984 roku na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Małe arcydzieło, majstersztyk gry z cenzurą stanu wojennego, która nie mogła przecież bez narażania się na śmieszność uznać za niecenzuralne nazwisk cenionych publicystów „Trybuny Ludu” oraz rzecznika prasowego Rady Ministrów PRL. Nic dziwnego, że chwyt ten usiłowało powtórzyć wielu autorów, snadź niepomyślnych porzekadła o rzece, do której nie sposób wejść dwa razy, włącznie z Adamem Michnikiem. Po prawej: wybór z grona kilkunastu osób

nominowanych do Wawrzynów Kisiela: 28 lutego na uroczystej gali zostaną one wręczone – „za osiągnięcia w kulturze, gospodarce i życiu publicznym” – w siedmiu aż kategoriach.

Co je dzieli? Czterdzieści dwa lata: epoka. Odzyskanie niepodległości i demokracji, wejście do NATO i Unii, niewyobrażalny w 1984 wzrost dobrobytu (przy utrzymywaniu się obszarów porzucenia i biedy). Wielkie zmiany cywilizacyjne, *social media* i AI, zapaść Związku Sowieckiego i odrodzenie okrutnej, imperialnej Rosji, musztrującej swoje piąte kolumny. Ale przecież nie tylko to.

Nazwiska z lewej kolumny zostały spopieline w ogniu Kisielowego despektu – choć jak pokazują przykłady Bilika, Broniarka czy Urbana, w mętności lat 90. potrafiły się skutecznie zregenerować. Nazwiska z prawej kolumny grzeją się – na eleganckich plakatach w granacie i złocie, „flagowych” barwach Fundacji Kisiela – w ciepłym płomieniu sławy, przydomka i zdjęcia Stefana Kisielewskiego.

Nie wiem, jak doszło do tego, że w miejsce „Nagrody Kisiela”, przyznawanej od roku 1990 pod patronatem tygodnika „Wprost”, pojawiły się „Wawrzyny Kisiela”, przyznawane przez ustanowioną w 2007 (a na większą skalę czynną publicznie od 2013) Fundację Kisiela; nie mam oczywiście żadnych podstaw kwestionować, że odbyło się to *lege artis*. Wiem to, co można znaleźć w publicznie dostępnych źródłach (nieraz podsuwających sprzeczne informacje), nie posiadając kompetencji dziennikarza śledczego: o sporach między Kapitułą Nagrody Kisiela a wydawcą tygodnika „Wprost”, które – jak się zdaje – doprowadziły do zaprzestania przyznawania nagrody. O istnieniu dwóch co najmniej fundacji odwołujących się do jego nazwiska:

Fundacji im. Stefana Kisielewskiego (zarejestrowanej w roku 2015) oraz Fundacji Kisiela (rej. 2008), obu stawiających sobie szczytne cele (choć tylko ta pierwsza wymienia wśród nich „krzewienie (...) oraz twórcze rozwijanie idei i dorobku Stefana Kisielewskiego). O życiu dwojga dzieci Stefana i kilkorga jego wnuków dysponujących, jak rozumiem, prawami do jego wizerunku.

Czy rzeczywiście *twist*, za sprawą którego charyzma Stefana Kisielewskiego opromienić może również ludzi związanych lub sympatyzujących z „Kamratami”, „Gazetą Warszawską” czy strukturami współczesnego ONR jest aż tak niepojęty? Na pozór nie – i wstrzymałbym się przez chwilę od ochów. Pamięć często ulega spłaszczeniu i Stefan Kisielewski, w trzydzieści pięć lat po swojej śmierci, często przywoływany jest – i zasłużenie! – poprzez glorię swoich najgłośniejszych i najtrwalszych zasług. Współtworzenia przez kilkadziesiąt peerelowskich lat „Tygodnika Powszechnego”, trwania przy nim, wytrwałego i głodnego, również na dnie nocy stalinowskiej. Krytyki cenzury (za co zapłacono mu ciężkim pobiciem), podpisywania kolejnych, głośniejszych listów protestacyjnych. Godnego sprawowania mandatu posła „Znaku” w Sejmie PRL. Autorstwa przenikliwych powieści politycznych publikowanych pod pseudonimem w Paryżu. Dla erudyty: przedwojennej i powojennej współpracy z Giedroyciem. Tylko dla znawców (co było dla Kisiela, jak wiemy, źródłem potężnego żalu): dokonań kompozytora, krytyka i wydawcy muzycznego.

Ale przecież Kisiel część swojej sławy w „Tygodniku” czerpał z bycia *enfant terrible*, czym się chlubił i co było jego znakiem rozpoznawczym (a, jak wiedzą biografowie rodziny Kisielewskich, poniekąd cechą rodową). Deklarowane przezeń przywiązanie do „liberalizmu i pragmatyzmu”, które przez dekady doskonale współbrzmiało z

„organicznikowskim” etosem redakcji z ulicy Wiślniej, w drugiej połowie lat 80. zaczęło być przyczyną tarć, a wreszcie rozstania. Był przecież współzałożycielem (wraz ze Stanisławem Michalkiewiczem i Januszem Korwinem-Mikke) „Ruchu Polityki Realnej” (przekształconego, gdy przyszła wolność, w znaną i dziś partię) już w 1987. Z „Tygodnikiem Powszechnym” rozstał się w kwietniu 1990 roku, w ogniu wojny na górze – i poparł Wałęsę, i przeniósł się do „Wprost”, założonego przez byłego sekretarza KC PZPR, i wśród laureatów „Nagrody Kisiela”, których wskazał jesienią 1990 znalazł się (obok „naszych”, solidarnościowych – Piotra Wierzbickiego czy Ernesta Skalskiego) również Mieczysław Wilczek, *crème de la crème* uwłaszczającej się właśnie nomenklatury.

Oczywiście: inni to byli wówczas Korwin-Mikke i Michalkiewicz, inny, *ehou*, „Tygodnik Powszechny”, nawet Wałęsa trochę inny. Próbuje jednak myśleć o tym w kategoriach historii idei, tej trochę efekciarskiej dyscypliny naukowej, której nazwę dał zapomniany dziś Arthur Lovejoy, a praktykowali ją najwięksi: sir Isaiah Berlin, René Wellek, Eric Voegelin, Umberto Eco czy Leszek Kołakowski. I, zgoda, większej wirtuozerii wymaga tropienie, jak Voegelin, śladów myśli gnostyckiej w refleksji narodowolców i bolszewików, czy igranie, jak Eco, filiacjami między atanorem alchemików a silnikiem czterosuwowym niż śledzenie ewolucji Stanisława Michalkiewicza. Niemniej – rozumiem racje, historyczne i myślowe, które sprawiają, że Michalkiewicz i Korwin-Mikke mogą się dziś odwoływać do dorobku Kisiela. Myślę nawet, że ta charakteryzująca jego teksty mieszanina wolnorynkowej ortodoksji, niechęci do stadnego myślenia i ochlokracji, irytacji, przywiązania do tradycji kultury Zachodu i przekory może tłumaczyć wiele z publicystyki Łukasza Warzechy – i usprawiedliwiać umieszczenie jego konterfektu obok zdjęcia Kisiela. Choć warto przy

tym pamiętać, że przekora jest doskonałą przyprawą publicystyki, ale uczynienie z niej głównego jej surowca nieraz kończy się porażką, o czym wie każdy, kto usiłował ulepić kotlet z kardamonu.

Kiedy patrzę jednak na inne widoczne na tym plakacie twarze, umieszczone poniżej liter „K + M + B”, jakże frywolnie odwołujących się do nazwisk prymasów Gali, i kiedy myślę o ich publicznych zaangażowaniach, znacznie trudniej mi wskazać *iunctim* między nimi a Stefanem Kisielewskim – pisarzem, krytykiem, pragmatykiem i przeciwnikiem sowieckiej dominacji nad Polską. Wspominam za to na opowieść barona Münchhausena która spotkała go – trzebaż trafu! – w Rosji, kiedy to podczas sanny stado wilków rzuciło się na konie pociągowe i pożarłszy je, samo niejako zaprzęgåło się do sań. Na mincerzy barbarzyńskich, frankijskich królestw którzy usiłowali bić monety na wzór rzymskich ale, niepiśmienni, naśladowali na chybił trafił nieznanym im literę. I może jeszcze fraza z późnego Miłoszowego wiersza „Dwór”:

*Przeminęła lipowa aleja, niegdyś droga pszczołom,
I sady, kraina os i szerszeni opitych słodyczą,
Zmurszały i zapadły się w oset i pokrzywy.*

Wojciech Stanisławski

Przeczytaj również: Felietony Wojciecha Stanisławskiego z cyklu „Barwy kampanii”

